

# Grzegorz Gołębiowski, Władysław Broniewski

---

## Kapitan Władysław Broniewski 'Orlik' o doświadczeniach bojowych z wojny 1920 roku

---

Przegląd Historyczno-Wojskowy 13 (64)/2 (240), 133-144

---

2012

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# KAPITAN WŁADYSŁAW BRONIEWSKI „ORLIK” O DOŚWIADCZENIACH BOJOWYCH Z WOJNY 1920 ROKU

W wojnie polsko-sowieckiej 1920 r. Władysław Broniewski „Orlik” brał udział jako dowódca 8 kompanii II batalionu 1 pułku piechoty Legionów. Z pułkiem tym przeszedł cały szlak bojowy, począwszy od styczniowej ofensywy 1920 r. na Dyneburg, przez ofensywę na Ukrainie w kwietniu–maju 1920 r., a skończywszy na odwoście z Ukrainy i przeciwuderzeniu znad Wieprza.

Po zakończeniu wojny pozostał w 1 pp Leg, zamierzając początkowo poświęcić się zawodowej służbie wojskowej. Był świeżo awansowanym 23-letnim kapitanem o legionowej przeszłości, odznaczonym 4-krotnie Krzyżem Walecznych i Orderem Virtuti Militari. Jako wyróżniający się oficer liniowy miał wszelkie szanse na karierę wojskową.

W kwietniu 1921 r. II batalion 1 pp Leg został przeniesiony w rejon Mołodeczna. I właśnie wtedy na rozkaz przełożonych napisał raport dotyczący doświadczeń bojowych z wojny 1920 r. Raport oparty był o własne doświadczenia i obserwacje Broniewskiego jako dowódcy kompanii piechoty i dotyczył działań bojowych 1 pp Leg od stycznia 1920 do końca działań wojennych w październiku 1920 r.

Wartość raportu kpt. Broniewskiego polega na tym, że ponieważ miał służyć wąskiemu kręgu odbiorców, autor potraktował temat w sposób krytyczny. Bez zbędnych upiększeń i propagandy oceniał cechy żołnierza polskiego na przykładzie II batalionu 1 pp Leg. Wskazywał na niewątpliwe zalety tegoż żołnierza, takie jak: odwaga, wysokie morale, wytrzymałość marszowa i odporność psychiczna. Nie pomijał też braków. Zaliczał do nich: wysoki poziom analfabetyzmu i związany z tym niski poziom inteligencji żołnierzy, słabą skuteczność ognia karabinowego pojedynczego żołnierza czy też podatność na tzw. odkuwanie się, czyli zabieganie o zdobycz wojenną. Scharakteryzował też sposób walki pododdziałów na szczeblu taktycznym i wartość uzbrojenia piechoty. Krótko ocenił też wartość oddziałów rosyjskich.

Raport kpt. Broniewskiego „Orlika” stanowi interesujący i wartościowy przyczynek do oceny działań polskich jednostek w wojnie polsko-sowieckiej oraz do historii polskiej sztuki wojennej. Dodatkową zaletą raportu jest nienaganna polszczyzna – wszak autorem był utalentowany młody poeta, który ostatecznie wybrał karierę literacką zamiast wojskowej.

Jedyną trudność techniczna przy odczytaniu raportu polegała na tym, że w niektórych miejscach druk już nieco wyblakł oraz to, że Broniewski dysponował niemiecką maszyną do pisania, bez polskich czcionek. Oryginał raportu znajduje się w Muzeum Władysława Broniewskiego w Warszawie. Raport prezentujemy bez ingerencji, zachowując też ówczesną pisownię.

*Grzegorz Gołębiewski*

\* \* \*

Dowództwo II/1 pp Leg.

Łużki, dnia 7 kwietnia 1921 r.

### DOŚWIADCZENIA BOJOWE

Na rozkaz Dtwa 1 pp Leg. kreślę poniższy szkic z doświadczeń bojowych z wojny 1920 r. Krótki termin wykonania nie pozwolił mi skreślić tego tak, jakby należało; wiele rzeczy zostało pominiętych lub ujętych niewłaściwie. Traktuję tę pracę jako luźny zbiór uwag, jakie mi się obecnie nasunęły.

Kreśląc **ogólną charakterystykę** naszej piechoty, muszę na wstępie zaznaczyć, że uważam ją za dobrą, nawet za bardzo dobrą. Cechami jej są: odwaga, duch ofensywny i wytrzymałość; te zalety, mimo ogromu niezaprzeczonych braków, stanowią o jej wysokiej wartości. Uważam za błędne stwierdzenie, jakoby żołnierz nasz był lepszy w ataku niż w obronie; defensywa kijowska wykazała, że w każdej sytuacji wykazuje on wielki hart ducha, większy może nawet w niepowodzeniu. Oficer, dający żołnierzowi moralną podniechęć i działający osobistym przykładem posiada jego ślepe zaufanie i może z nim zrobić wszystko. Podoficerowie nie odgrywają ważniejszej roli, nie wybijają się ani wyszkoleniem, ani inteligencją nad poziom żołnierzy, oficer zaś posiada wpływ i pole działania tak wielkie, że nie zawaham się powiedzieć, iż oddział takim jest, jakich ma oficerów.

**Materiał**, z jakiego rekrutuje się nasza piechota, to w ogromnej większości młodzież rolnicza. Na rzemieślników, robotników i w ogóle pracowników miast przypada w przybliżeniu około 20% ogólnego stanu. Ten procent, większy nieco na początku 1920 r., w miarę strat i napływu uzupełnień zmniejsza się w ciągu roku. Analfabetyzm dziś z trudem pokonywany, na początku 1920 r. dochodził do 70%, średnio 50%. Żołnierzy umiejących poprawnie czytać i pisać znajdowały się w każdym oddziale ilości minimalne; odbijało się to fatalnie na zapotrzebowaniu sił kancelaryjnych i podoficerskich. W miarę strat w podoficerach legionowych i peowiackich musiano awansować poborowych, ci jednak, ze względu na swą niską inteligencję, na podoficerów w zupełności nie nadawali się. Podoficer taki, awansowany najczęściej tylko za waleczność, odpowiadał wymogom bitwy, jednak swym poziomem moralnym i umysłowym nie wybił się nad swych podkomendnych. Nie nadawał się również do szkół podoficerskich, niską swą inteligencją nie mogąc ogarnąć ich kursu.

O ile chodzi o zdolność bojową, to **poziom moralny** w II/1 pp L[eg]. zawsze stał bardzo wysoko. Każda ofensywa, wypad, w ogóle akcja zaczepna była przez żołnierzy wykonywana z ochotą i odwagą. Odwrót kijowski nie zdołał zepsuć tego stanu; żołnierz wygrywając bitwy i cofając się na rozkaz, często nie rozumiał przyczyny naszych niepowodzeń. Wypadków paniki, ucieczki z pola bitwy, odmówienia posłuszeństwa nie zdarzało mi się widzieć ani razu. O ile więc „stan moralny” we wszystkich okresach wojny 1920 r. stał bardzo wysoko, to „moralność” była niezwykle niska. Przyczyniło się do tego przede wszystkim częste tolerowane tak zwane odkuwanie się, to znaczy rabowanie dla własnej korzyści zdobyczy wojennej. Odbi-

jało się to ujemnie na akcji, ponieważ żołnierze zajęci zdobyczą zapominali często o nieprzyjacielu. Główną winę ponoszą w tym wypadku podoficerowie, którzy ani rozkazem, ani przykładem nie przeciwdziałali złemu. W ogóle za główną przyczynę niskiego poziomu moralnego i rozwydrzenia żołnierzy uważam brak wyższości moralnej i wpływu podoficerów. Oficer, mimo najlepszych chęci i zużycia maksimum energii, sam nie jest w stanie w dostatecznym stopniu opanować oddziału. W operacji „Zima”<sup>1</sup>, kiedy kompanie posiadały przeważnie pełny stan oficerów, wypadki gwałtów i rabunków były rzadkie i energicznie karane. Najgorzej pod tym względem było w defensywie kijowskiej, gdy stan oficerów był bardzo uszczuplony. W kontrofensywie zapał bojowy i chęć odwetu przytępiły instynkta materialne.

W kwestii **wyszkolenia** muszę przede wszystkim zauważyć, iż praca naszych kadr była niedostateczna. W ciągu dwu lat wojny ruchowej nie poczyniono nic, aby sposoby walki w tej wojnie przyjęte ująć w jakąś teorię i zastosować ją przy wyszkoleniu. Żołnierz przychodzący z kadry umiał jako tako musztrę i był przejęty swego rodzaju „drillem” koszarowym, w którym dominującą rolę odgrywało układanie ubrań „w kostkę”, stawianie butów „na baczność” itp. Żołnierz ten jednak nie umiał strzelać, maszerować, ani szybko wykonywać szyków taktycznych; wymienione dziedziny wyszkolenia żołnierskiego były przez oficerów kadry z dziwną lekkomyślnością niedoceniane. Przypuszczam, że wpłynęła na to ta okoliczność, iż bardzo rzadka była wymiana oficerów między kadrami a pułkiem i że oficerowie kadry w wielu wypadkach przez cały 1919–20 r. nie byli w polu. Co do żołnierzy będących na początku w pułku muszę zaznaczyć, że wyszkolenie ich zawsze pozostawiało wiele do życzenia. Żołnierz po dwu tygodniach szkoły rekruta w Komorowie w ciągu dwu lat wojny miał sposobności nauczyć się celnie strzelać i oceniać odległości; inteligentniejsi doszli do tego z praktyki, większość jednak strzelała i strzela źle. (Poruszam tu tylko najważniejsze dziedziny wyszkolenia). Szkolenie kadrowe dało również szereg złych przyzwyczajzeń, będących pozostałościami z wojny pozycyjnej. (Przyzwyczajenia te przez długi czas trzymały się również oficerów, pozostających stale w linii). Mówię tu o przede wszystkim rozsypywaniu linii tyralierskich, staraniu utrzymania ciągłej łączności i niepotrzebnym prowadzeniu walki ogniowej.

Żołnierz nasz posiada na ogół wielką **zdolność do marszu**. Przyczynia się do tego w pierwszym rzędzie trening, jakim bądź co bądź były wszystkie nasze akcje. Dodać jednak należy, że wszystkie marsze były odbywane bez tornistrów, w przeciwnym przypadku przypuszczam, że rezultaty byłyby o wiele gorsze. **Tempo** marszu zależy od oficera prowadzącego czoło kolumny. O ile chodzi o szybkość marszu, wadliwym jest częste dawanie małych odpoczynków; marsz z bardzo ograniczoną ilością odpoczynków w pierwszej połowie pozornie bardziej nuży, w rzeczywistości jednak mechanizuje on do pewnego stopnia organizm żołnierza tak, że zdolny jest do przebywania jednorazowo większych dystansów. Nie należy się przejmować zwiększaniem się ilości maruderów, w większości wypadków nie zostaje się z powodu zmęczenia lub niemożności maszerowania, lecz w celu zakupna lub rabunku; większość z nich zresztą dołącza do oddziału w kilka godzin po przybyciu na miejsce. W ofensywie dźwińskiej nie osiągnęliśmy rekordów marszowych; przeciętnie

<sup>1</sup> Ofensywa zimowa na Dyneburg w styczniu 1920 r.

Pierwsza strona raportu kpt. Władysława Broniewskiego „Orlika”  
(zbiory Muzeum Władysława Broniewskiego w Warszawie)

marsze wynosiły od 20 do 30 wiorst i były odbywane za jednym zamachem, to jest bez odpoczynku obiadowego; miało to te dobre strony, że na nowe kwatery przychodziło się jeszcze za dnia, co ogromnie ułatwiało zakwaterowanie. Wysięk marszowy w tej operacji był nieproporcjonalny do ilości przebytych wiorst ze względu na śnieg, sięgający częstokroć powyżej kolan. Kolumny maszerowały wtedy szeregiem lub dwuszeregiem, przy czym korzystano z jednych śladów w śniegu. W operacji „Józef”<sup>2</sup> marsze były prawie zawsze połączone z akcją, tak że trudno wysięk marszowy określić ilością przebytej drogi; że jednak wysięk ten był wielki, wystarczy wspomnieć akcję pod Równem, gdzie pomijając już marsz znad rzeki Wbert, żołnierz odbył bez przerwy trzy noce marszu i dwa dni bitwy (liczę od wymarszu spod Tuczyzna do przybycia do Klewania). Rekordy marszowe osiągnane były dopiero w kontrofensywie znad Wieprza i w ostatniej ofensywie na Lidę. W pierwszym dniu kontrofensywy przebyliśmy 53 wiorsty, maszerując od godziny 4 do 23 z dwugodzinnym odpoczynkiem w Parczewie. W kompanii mojej na 115 żołnierzy stanu bojowego było 12 maruderów, z tych 7 dołączyło w ciągu nocy. Najdalszy marsz wynosił, o ile się nie mylę, 63 wiorsty i był zakończony sześciogodzinną walką o Drohiczyn. W marszu tym maruderów miałem zaledwie czterech, mimo że około 10% ogólnego stanu nie posiadało butów. Do tak dobrych rezultatów marszowych przyczyniło się najbardziej ogromne podniesienie stanu moralnego.

**Dyscyplina marszowa** była u nas zazwyczaj bardzo słaba; pochodziło to głównie z powodu niedostatecznej ilości oficerów w oddziałach. Jak to wyżej zaznaczyłem, stosunkowo duża ilość maruderów pochodziła nie z braku zdolności do marszu, lecz z powodu rozluźnienia dyscypliny marszowej. Najgorzej pod tym względem było w pierwszej fazie odwrotu spod Kijowa. Wy pływało to z pomieszania oddziałów i niemożności zapobiegnięcia nadużyciom.

**Marsze bojowe** u nas cechuje szybkość. Zazwyczaj chodzi o rozbitcie sił nieprzyjacielskich skoncentrowanych dalej lub bliżej za frontem. Jeżeli więc za zasadę akcji przyjmuje się zaskoczenie nieprzyjaciela, to od marszu bojowego wymaga się szybkości i ciszy. Oba te warunki stopniowo w coraz lepszym stopniu były przez nas osiągnane. Aby osiągnąć szybkość marszu zazwyczaj na szpicy szedł starszy oficer, dca komp. lub baonu – w wyjątkowo ważnych wypadkach zdarzało się, że szpicę prowadził dca pułku lub brygady. Ubezpieczeń bocznych nie wysyłało się dlatego, że po 1-sze nie nadążyłyby, idąc polami równoległe do kolumny posuwającej się drogą, po 2-gie, mogłyby wywołać niepotrzebny alarm, natknąwszy się gdzieś na placówkę lub wedetę nieprzyjacielską. W dzień doskonale ubezpieczało kolumnę kilku jeźdźców krążących na wysokości szpicy, w nocy wystarczała sama szpica z przydzielonym zazwyczaj kaemami. Mogłyby się wprawdzie zdarzyć wypadki zaskoczenia z boku, ale na to trzeba by nieprzyjaciela bardziej odpornego na akcje flankujące. Od wykonania marszu bojowego zależało częstokroć powodzenie całej akcji, decydowała tu siła charakteru dcy. Za zasadę przyjęto postępować konsekwentnie na podstawie danych, które były motywem akcji i nie zmieniać jej planu bez widocznych przyczyn, a więc: lekceważyć akcje patroli i ich meldunki najczęściej mylne, nie zatrzymywać się przy mniejszych przeszkodach i dążyć

<sup>2</sup> Ofensywa na Ukrainie w kwietniu 1920 r.

za wszelką cenę do wytkniętego celu. O ile po długim marszu bojowym miała nastąpić akcja, nie wahano się rozpocząć jej bez względu na zmęczenie żołnierzy, sama akcja dawała podniecenie nerwowe, które zastępowało odpoczynek, pozostawanie zaś na przedpolu prędzej czy później mogłoby zaalarmować nieprzyjaciela i nie pozwolić na zaskoczenie. W tych wypadkach zresztą żołnierze dawali pełne zrozumienie sytuacji i natężali resztki sił, rozumiejąc, że od tego zależą losy bitwy.

Metody w ścisłym tego słowa znaczeniu przy **grupowaniu oddziału do walki** nie było. Wojna ruchowa daje taką rozmaitość sytuacji, że wczesne rozwinięcie może bardziej narazić na niepowodzenie, niż pozorne nieprzygotowanie do walki. Istniała zasada narzucona doświadczeniem, aby do ostatniej chwili utrzymywać oddziały nierozwinięte; dawało to te prerogatywy, że zawsze można było rozwinąć oddział tak, jak tego wymagała sytuacja. Rzecz prosta, że stosuje się to tylko do działań zaczepnych. Ataków frontowych na ogół unikaliśmy, wołąc zawsze zaflankować nieprzyjaciela, o ile jednak zachodziła konieczność ataku frontowego, większą uwagę zwracało się na szybkość akcji, niż na ten lub inny sposób ugrupowania. Jeżeli występował samodzielnie pluton z kaemem, zazwyczaj rozwijał się bez pozostawiania rezerwy w tyralierę o odstępie 6–15 kroków. Kaem szedł zawsze w jednej linii z piechotą i znajdował się zwykle na jednym ze skrzydeł. Ogień otwierało się nie wcześniej, niż z odległości 500–700 kroków, przy czym po otwarciu ognia pluton jak najszybciej starał się dobiec do nieprzyjaciela, najczęściej wcale nie zatrzymując się, pozostawiając walkę ogniową karabinowi maszynowemu, który pozostawał wtedy na zajętej pozycji i ostrzeliwał nieprzyjaciela nawet nad głowami własnej piechoty. Kompania w większości wypadków działała oskrzydłająco, przy czym z reguły jeden pluton pozostawał w rezerwie. O ile chodziło o zwalczanie mniej więcej równych sił nieprzyjacielskich, [o tyle] stosowano zawsze obejście, przy czym decydujące uderzenie następowało najczęściej od tyłu. A więc jeden pluton z flanki lub z frontu markował atak lub związywał nieprzyjaciela ogniem, drugi pluton wykonywał atak na siły nieprzyjacielskie, trzeci – postępował za drugim w pewnej odległości jako rezerwa i bywał używany do odpierania tylko kontrataków. Atak ba[ntali]onu zazwyczaj rozlatywał się na kilka epizodów akcji kompanii lub plutonów tak, że zadaniem baonu było tylko skoordynowanie poszczególnych akcji oraz odpowiednie użycie rezerwy. Z reguły w rezerwie trzymano jedną lub dwie kompanie.

W obronie decydującą rolę odgrywał jedynie ogień kaemów. Piechota strzelała tak źle, że ogień jej nie przedstawiał poważniejszej przeszkody; obronę więc organizowano zazwyczaj w ten sposób, że obsadzano kaemami punkty panujące nad terenem, ubezpieczając je słabą linią, maksimum zaś piechoty trzymano w rezerwie celem użycia w kontratakach.

Wobec luk, jakie stale istniały między punktami oporu stosowano ugrupowanie w głąb, to jednak nie zawsze było możliwe ze względu na nadmierne rozciągłości powierzanych odcinków, dochodzących nieraz do 15 wiorst. W operacji „Zima” baon otrzymywał przeciętnie 5–6 wiorst odcinka; obsadzano go w ten sposób, że umieszczano po kompanii w poszczególnych wsiach, ewentualnie rzucano poszczególne plutony celem zabezpieczenia skrzydeł, plutony te jednak pozostawały pod rozkazami kompanii, z którą współdziałały. Taki więc odcinek baonu dzielił się na kilka punktów

oporu, mających między sobą łączność ogniową lub wzrokową. W razie gdy nieprzyjaciel atakował z zastosowaniem obejścia, do akcji wchodziła kompania rezerwowa, umieszczona w punkcie, z którego miała mniej więcej równe odległości do wszystkich kompanii, zwłaszcza zaś na punkt oporu najbardziej zagrożony.

Reasumując, co do ugrupowania piechoty [w] ataku i obronie stwierdzam co następuje: w ataku między zbliżaniem się a rozsypaniem bywał zupełnie pomijany moment rozciągnięcia; w obronie rozwijano minimum oddziałów, aby nie wiązać się z nieprzyjacielem, a przez użycie maksimum skupionej rezerwy przejmowano inicjatywę od nieprzyjaciela.

**W walce ogniowej** decydującą rolę odgrywały kaemy. Ogień piechoty był tak słaby i niecelny, że jedynie ogień kaemów stanowił przeszkodę dla posuwającego się nieprzyjaciela. Wojna ruchowa wykazała konieczność powiększenia ich ilości. Wobec rozciągłości frontu przy równoczesnej małej ilości wojsk one jedynie zapewniały oddziałowi utrzymanie powierzonego odcinka, one zapewniały łączność ciągłej linii i łączność ogniową. W II/1 pp Leg. na kompanię przypadało 4 kaemy, ilość ta jednak nieraz okazywała się za małą. W ogóle spotęgowanie siły ogniowej oddziału przy równoczesnym nieobciążaniu go było w minionej wojnie troską każdego dowódcy. Kaemy nasze na ogół funkcjonowały sprawnie i strzelały celnie i we wszystkich walkach odgrywały rolę dominującą. W ataku zazwyczaj prowadzone w pierwszej linii służyły do zastosowania kombinacji ruchu z ogniem, wspierając atakującą piechotę; w obronie na nich jedynie spoczywa ciężar walki ogniowej. Z używanych typów najlepszym okazał się kaem „Schwarzlose”, głównie ze względu na swą lekkość i względną dogodność w przenoszeniu. Poza tym jest to kaem celny i precyzyjny. Na drugim miejscu umieściłbym kaem francuski systemu „Hotchkiss”, który rozkłada się podobnie jak „Schwarzlose”, przez co jest dogodny w przenoszeniu, jest jednak nierównie cięższy, co utrudnia jego zastosowanie w walce ruchowej. Posiada on bardzo mało zacięć i konstrukcję odporną na uszkodzenia; poza tym ma tę zaletę, że przy dużych mrozach nie zamarza, w przeciwieństwie do innych systemów. Na trzecim dopiero miejscu umieszczę kaem rosyjski, któremu pod względem solidności i precyzyjności strzelania także niewiele można mieć do zarzucenia, jednak ze względu na swój ciężar i niemożność rozłożenia na części, w walce ruchowej jest on nadzwyczaj niedogodny.

Z ręcznych kaemów poznałem [w] praktyce tylko ręczne franc. i „Levissa”; oba systemy nie spełniły pokładanych w nich nadziei. Strzelały bardzo niecelnie; w ogóle broni tak lekkiej nie można utrzymać w jednej pozycji podczas strzelania maszynowego. W bitwie wymagają ogromnej uwagi na łódki z nabojami, które przy najmniejszym uszkodzeniu lub zgięciu powodują zacięcie się kaemu. Ręczne kaemy mogą działać na efekt przez otwarcie silnego ognia na bliską odległość, jednak jako broń ofensywna przedstawiają małą wartość. W działaniu na efekt posługiwaliśmy się znakomicie kaemem austriackim, który nieraz prowadzony był na szpicie i otwierał ogień z odległości dochodzącej czasem do kilkunastu kroków. Zasadę kaemu pożądanego przez piechotę w warunkach wojny ruchowej ująłbym w następujący sposób: ma to być kaem typu zbliżonego do „Schwarzlose” (chodzi o sposób rozkładania), lżejszy od „Schwarzlose” o tyle, aby jego ciężar pozwolił [na] precyzyjniejsze strzelanie.



Francuskie wózki pod kaemy okazały się niepraktyczne ze względu na częste psucie się oraz nadmierne wydłużanie kolumny ilością zaprzęgów. Najlepszym wydaje mi się sposób transportowania na jukach, których niestety baon nie posiadał. W praktyce najczęściej przewożono kaemy na podwodach, później na własnych lekkich wózkach zaprzężonych w dwa konie; ten sposób okazał się dość dobrym ze względu na zdolność posuwania się po podłych drogach.

**W walce ogniowej**, jak wyżej wspomniałem, decydującą rolę odgrywały kaemy; ogień piechoty nie znaczył prawie nic ze względu na swą niecelność i niemożność skoordynowania.

Chodziło zazwyczaj o zwalczanie nieprzyjacielskiego kaemu, aby dać możliwość piechocie posunięcia się naprzód. Powstawały tedy jakby pojedynki kaemów, piechota podczas trwania ognia posuwała się naprzód, zazwyczaj starając się zaflankować. Tak więc sposób walki plutonu był zbliżony do sposobu walki francuskiej „Grupy bojowej”, zawierając w sobie zasadnicze cechy kombinacji ruchu z ogniem. Manewr na ogół zawsze chętniej i skuteczniej był stosowany. W walkach odwrotowych przeciw kawalerii Budionnego częstym stosowaniem było zaskoczenie ogniem; miarą zaufania do broni i jej skuteczności są wypadki podpuszczania szarży kawaleryjskich na odległości do 400 kroków (Borysław, Tuszyn). Takie eksperymenty mogły być wykonywane tylko przy posiadaniu co najmniej kilku kaemów, ponieważ część z nich zawsze mogła z jakichkolwiek przyczyn nie strzelać. Przy wypadach tylko szybkie podprowadzenie kaemu dawało gwarancję utrzymania zdobytej pozycji, ponieważ nieprzyjaciel, o ile nie był rozbity, zazwyczaj przechodził do kontrataku; ogień jednego choćby kaemu w porę i w odpowiednie miejsce sprowadzonego zniechęcał nieprzyjaciela do przedsięwzięcia kontrakcji.

Walka ogniowa była u nas na ogół przyjmowana niechętnie i tylko w koniecznych wypadkach. Żołnierz, przeniknięty duchem ofensywnym, starał się zawsze jak najprędzej przebiec pole obstrzału, aby przejść do **walki wręcz**. Do walki tej zwykle nie dochodziło, ponieważ nieprzyjaciel jej nie przyjmował i albo uciekał, albo poddawał się. To przyzwyczajało piechurą do łatwych sukcesów i utrzymywało w nim chęć tego, a nie innego rozstrzygnięcia bitwy. Czasami jednak, najczęściej w okresie walk o Kijów zdarzały się wypadki walki wręcz. W walce tej charakterystycznie uwidoczniła się zwłaszcza moralność naszego żołnierza nad bolszewickim. Bagnetów używano rzadko. Decydującą rolę grały tu granaty ręczne i granatniki piechoty, które choć rzadko używane, oddały nieraz cenne usługi. Granatami ręcznymi piechota nasza posługiwała się dość sprawnie; niestety, w ostatnich miesiącach walk brak dawał się dotkliwie odczuwać.

Nie posiadając **metod walki ruchowo-pozycyjnej**, posługiwaliśmy się stale nowym z każdym miesiącem doświadczeniem bojowym. Wobec niezaprzeczonej wyższości moralnej naszego żołnierza nad bolszewickim, biorąc pod uwagę specjalne zdolności ofensywne, za zasadę zarówno w ofensywie, jak i defensywie przyjęto atak.

Nieprzyjacielski system obronny polegał na obsadzaniu pewnej linii w ten sposób, iż umieszczano w odstępach kilkuwiorstowych, przeważnie we wsiach po kompanii z kilkoma kaemami; z tyłu za linią w odległości 8–15 wiorst w pobliżu węzła drogowego umieszczano silniejsze rezerwy. Na utrzymaniu zajętej linii nie-

przyjacielowi nie zależało; wobec zdecydowanego ataku zazwyczaj cofał się o kilka lub kilkanaście wiorst na nowe pozycje, które znów trzeba było kopać, starał się jedynie uniknąć rozbicia i okrążenia – na to ostatnie był specjalnie czuły. Walka taka, choć dawała nam zyski terenowe, w rezultacie nie prowadziła do niczego, a pociągała za sobą straty. Już w ofensywie dźwińskiej zrozumiano, że celem walki nie jest zdobycie tej lub innej pozycji, lecz zniszczenie nieprzyjaciela. W defensywie kijowskiej stosowano system zwijania linii nieprzyjacielskich wypadami; były to zazwyczaj akcje większych oddziałów przeciw mniejszym; oddział wypadowy po wykonaniu swego zadania wracał na zasadniczą linię (walki nad Styrem). Po kilkunastu dniach takich walk, w ciągu których coraz to nowe oddziały nieprzyjacielskie pojawiały się na miejsce rozbitych, nieprzyjaciel cofał swe linie o kilkanaście wiorst w tył (podobnie jak w roku 1919). Zdarzało się, że własna akcja ofensywna była wstrzymana kontrakcją nieprzyjaciela; w tym wypadku postępowano następująco: zakładano linię oporu złożoną z kilku punktów oporu odległych od siebie o 1–3 wiorsty z obsadą po kompanii i z kompanią w rezerwie (mówię o walce baonu) i na linii tej wytrzymywano pierwszy atak nieprzyjacielski. Po odparciu ataku, a tym samym osłabieniu nieprzyjaciela, przechodzono natychmiast do dalszej walki ofensywnej w ten sposób, że o świcie rozbijano jeden z punktów oporu nieprzyjaciela, po czym, przez lukę we froncie nieprzyjacielskim wykonywano forsowny marsz na tyły celem rozbicia rezerw. Na tym zazwyczaj kończyła się bitwa, bo oddziały bolszewickie pozostałe na linii, będąc nadzwyczaj czułymi na wszelkie zaflankowanie i obejście, gdy poczuły nieprzyjaciela na głębokich tyłach, zazwyczaj w popłochu starały się uciec, rzadko próbując uderzyć na oddział wypadowy. Istniał i inny system ofensywy, polegający na zwijaniu linii nieprzyjacielskiej po zniszczeniu jednego z punktów oporu; system ten jednak był mniej korzystny ze względu na żmudność i rozdrobnienie walki oraz możliwość nadciągnięcia rezerw.

**Akcje piechoty z przydzieloną artylerią** dopiero w operacji „Józef” zaczęły dawać dobre rezultaty. Pochodzi to stąd, że artyleria przez długi czas nie mogła nagiąć się do warunków wojny ruchowej. Ustawiano zazwyczaj baterie za daleko od pierwszych linii, marnowano czas na budowę połączeń i wstrzeliwanie się, gdy trzeba było działać szybko i z pewnym ryzykiem. Dodam jeszcze, że ogień artylerii był bardzo niecelny, obejmował nie te punkty, których ostrzelania żądała piechota i następował nie w żądanym czasie. Wady te znikły, gdy artylerię przydzielać zaczęto do samodzielnych jednostek piechoty – baonów lub pułków. Młodszy oficerowie artylerii, dcy plutonów i baterii, szybko zerwali z rutyną i pracowali ręką w rękę z piechotą. Działania na efekt w praktyce okazywały się mniej niebezpieczne, niż by się to komuś, kto znał jedynie wojnę pozycyjną wydawać mogło. Baterie często stawały na odkrytych pozycjach, pojedyncze działa strzelały nieraz z pierwszej linii piechoty, co miało ogromne znaczenie ze względu na demoralizację nieprzyjaciela. W akcjach zaczepnych mało zależało na skuteczności ognia artyleryjskiego; chodziło bardziej o efekt, zachowywany zwykle na decydujący moment walki. Przy wypadach przydzielona artyleria z reguły nigdy nie otwierała ognia przed rozpoczęciem ataku piechoty, aby dać możliwość momentu zaskoczenia. W chwili, gdy piechota wdzierwała się na pozycję nieprzyjacielską, artyleria otwierała szybki ogień, mniejsza o to, czy skuteczny, byle nie za bliski (co niestety nieraz miało miejsce).

Wobec szybkich zmian w sytuacjach walki artyleria nie mogła posługiwać się łącznością, lecz dca jej sam musiał się orientować i z własnej inicjatywy wydawać rozkazy. Na ogół artyleria bardziej ceniona była jako broń defensywna; działanie jej było konieczne przy zwalczaniu pancerek i obronie punktów oporu.

W walkach 1920 r. utrzymywał się przeważnie stosunek jednej baterii na baon piechoty. Jako pewnik muszę stwierdzić, iż w wojnie ruchowej jest rzeczą konieczną, aby artyleria otrzymywała rozkazy od dowódcy piechoty, nie zaś od dtwa grupy artyleryjskiej, znajdującej się zwykle w dość znacznej odległości za frontem i nie mającego prawie żadnego kontaktu z akcją.

Co do **miotaczy bomb i granatów** przy piechocie mało mogę powiedzieć, ponieważ prócz krótkonośnych granatników, nie miałem w użyciu tej broni. Wyżej wspomniane granatniki, gdyby posiadały siłę nośną 500–600 metrów, zamiast 300-tu, byłyby bronią bardzo dobrą. W warunkach minionej wojny dystans 300 metrów decydował już o szturmie tak, że na ogień granatników nie było czasu. Granatniki te zresztą są za ciężkie i niewygodne w przenoszeniu. Doskonałe zastosowanie miałyby granaty karabinowe austriackie – niestety, nie posiadaliśmy ich wcale.

Co do **zmian organizacyjnych**, to uważałbym za korzystne zaprowadzenie następujących. Przede wszystkim uważam za niekorzystne obecne zmniejszenie etatu baonu do trzech kompanii; ogranicza to zdolność taktyczną baonu, mimo nawet tej samej ilości bagnatów, co przy systemie czterekompanijnym. Wyposażenie kompanii w 12 ręcznych kaemów sprowadza, moim zdaniem, zmniejszenie siły ogniowej kompanii. Wygląda to pozornie na paradoks, jednak motywuję to tym, że 4 kaemy posiadane dotychczas przez kompanię strzelają dobrze i celnie na odległość do 1000 metrów i dalej, zaś granica celności i to wątpliwej ręcznych kaemów jest 400–500 metrów. Gdyby kompania zamiast 12 ręcznych kaemów otrzymała 6 lekkich kaemów, tj. kaemów systemu „Schwarzlose” z lekką podstawą, byłoby to niewątpliwie korzystniejsze.

Dotkliwie dawał się odczuwać brak armatek piechoty, które znalazłyby niejednokrotnie świetne zastosowanie. Pożądanym byłby etat przynajmniej dwóch armatek piechoty na baon. Dla wywiadu i łączności niezbędny jest przy baonie oddział konny. Oddział taki sformowany w kontrofensywie oddał II/1 pp Leg. nieocenione usługi we wszystkich marszach bojowych, w których pełnił tak męczącą dla piechoty służbę szpic i straży bocznych, a niejednokrotnie samodzielnie wykonywał pewne zadania taktyczne. (Była to właściwie piechota wsadzona na konie; cechowała ich ogromna niewrażliwość na ogień, jakiej nie zauważyłem nigdy u kawalerii. Zdolność szybkiego pokonywania przestrzeni służyła im głównie do jak najszybszego zbliżenia się do nieprzyjaciela; te metody częściowo podpatrzone zostały u jazdy Budionnego).

Kończąc niniejszy szkic dodam jeszcze kilka słów **charakterystyki nieprzyjaciela**<sup>3</sup>. Nie będę mówił o oddziałach komunistycznych ani w ogóle o oddziałach doborowych, które mają bezsprzecznie dość wysoką wartość bojową, lecz o prze-

<sup>3</sup> Na temat charakterystyki i oceny Armii Czerwonej zob. S. Rowecki, S. Elterlein, *Czerwona Armja bolszewicka: (jej organizacja, wartość i taktyka): opracowane na podstawie doświadczeń bojowych z 1918–20 r.*, [Słomim] 1920. Ocena wartości Armii Czerwonej Broniewskiego oraz Roweckiego i Elterleina jest bardzo podobna.

ciężnych zmobilizowanych oddziałach. Jest to żołnierz nieinteligentny, niechętny do walki, źle wyposażony i odżywiany. Te warunki składają się na to, że tak chętnie się poddaje. Jest to jednak materiał, który mógłby być dobrym żołnierzem w pewnych warunkach. Żołnierz jest dość odważny i odporny fizycznie, brak mu jednak dowódców i siły moralnej. W akcjach brak bolszewikom fachowego dowództwa, skutkiem czego inicjatywa prawie zawsze spoczywa w naszym ręku. Brak im również podoficerów dowódców patroli, które bardzo rzadko były wysyłane. Na wywiady wysyłano co najmniej jedną kompanię; wywiad zazwyczaj nie docierał do linii naszych placówek.

W ataku bolszewicy bardzo szybko się wyczerpują, co daje się często świetnie wykorzystać; zdarzało się np., iż po zajęciu części naszych placówek lub po częściowym wdarciu się w nasze pozycje, gdy oddział nasz kilkakrotnie mniejszy od bolszewickiego zdecydowanie i szybko, zwłaszcza z flanki, przeszedł do kontrataku, osiągał zupełne powodzenie (Lanckorona). Bolszewicy tak są wrażliwi na oskrzydlenie, że zazwyczaj nasz oddział wypadowy samym ukazaniem się na flance lub tyłach wywoływał panikę i odwrót nieprzyjaciela. Natomiast widząc dezorientację lub brak decyzji z naszej strony, bolszewicy wykorzystywali to natychmiast, przechodząc do kontrataków i stawali się wtedy nawet zuchwale odważnymi. W ogóle jeżeli po spędzeniu z pozycji, a nierozbiciu nieprzyjaciela nie stosowaliśmy pościgu, nieprzyjaciel po ochłonięciu przechodził do kontrataku.

Kawaleria nieprzyjacielska jest znacznie lepsza bojowo od piechoty. Wykazuje ona dość dużą odwagę i wybitną inicjatywę, połączoną nieraz z zuchwalstwem. Liczy jednak zawsze na demoralizację nieprzyjaciela i, o ile tenże nie ulega panice, lecz broni się regularnie, kawaleria bolszewicka zazwyczaj wycofuje się, aby szukać szczęścia na innym odcinku. W walce z naszą dobrą piechotą kawaleria bolszewicka nie dotrzymywała placu, mimo nieraz ogromnego podniesienia stanu moralnego bolszewików w okresie sukcesów Budionnego. W walce kawaleria niechętnie się spieszała, była za to bardzo ruchliwa i szukała zawsze sposobu obejścia. Była wyposażona w wielką ilość kaemów, z których zwłaszcza ręczne znajdowały przy jej systemie walki ogromne zastosowanie. Decydującej bitwy kawaleria, zwłaszcza atakowana przez nas, zwykle starała się uniknąć, natomiast czując się w przeważającej sile, atakowała zuchwale odważnie.

Kawaleria Budionnego była wyposażona w znaczną ilość artylerii konnej, która działała sprawnie i odważnie, w przeciwieństwie do artylerii polowej, która przedstawiała małą wartość bojową. Na ogół artylerii bolszewicy posiadali mało i złą, po kontrofensywie ilość jej spadła do minimum. Rolę artylerii za to zastępowały znakomicie pociągi pancerne, których bolszewicy mieli bardzo wiele i dobrych; nieraz na jednym torze działały równocześnie trzy pancerki. W ryzykownych przedsięwzięciach i zuchwałych wypadach bolszewickie pociągi pancerne znacznie przewyższały nasze. Te ostatnie zawsze za bardzo wrażliwe były na możliwość odciążenia i przy głębszych wypadach bardzo krótko albo wcale nie wspierały akcji piechoty. Bolszewickie pociągi pancerne najbardziej dawały się we znaki przez bardzo dobrze umieszczoną na nich artylerię. W ofensywie dźwińskiej artyleria nasza nie umiała zwalczać pociągów pancernych; za przykład posłużyła bitwa pod Wyszkami, gdzie przez trzy dni bolszewickie pancerki stały o 500 m przed naszą linią niespodzono

ogniem naszej artylerii. Najskuteczniej zwalczano panczerki bolszewickie przez zerwanie toru na tyłach lub podminowanie.

W armii bolszewickiej wielką wadą było zaprowiantowanie. Z powodu braku kuchen polowych żołnierz otrzymywał fasunek w naturze, często zaś wcale go nie otrzymywał. Sprowadzało to niepokonane trudności w okolicach nie mogących wyżywić armii, w innym wypadku panowało rozgoryczenie i wrogi nastrój miejscowej ludności.

**Przyczyny naszych zwycięstw i niepowodzeń** trudno mi będzie ująć w tym krótkim szkicu. Za główną przyczynę naszych zwycięstw, osiągniętych zazwyczaj przy użyciu mniejszych sił niż nieprzyjacielskie uważam przede wszystkim ogromną wyższość moralną naszego żołnierza nad bolszewickim. Ważnym także czynnikiem było stosunkowo dość duże wyposażenie w dobrych niższych dowódców. Ujmując inicjatywę we własne ręce, nie pozwalaliśmy bolszewikom wykorzystać sił, jakimi dysponowali. Upředzaliśmy ich akcje, atakując w czasie koncentracji, rozbitcie jednej choćby grupy paraliżowało zamysły nieprzyjaciela.

Za przyczynę niepowodzeń uważam przede wszystkim brak rezerw, a także zły w niektórych oddziałach system defensywy. Zamiast ugrupowania w głąb, stosowano rozciągnięcie wąskiej linii, która po przełamaniu w jednym lub kilku punktach zmuszona była do cofania się. Przypuszczam także, iż w innych oddziałach przyczynił się do niepowodzeń niski stan moralny. O tym zresztą trudniej mi mówić, ponieważ pozostając zawsze w 1 pp Leg., byłem świadkiem tylko dobrego stanu moralnego żołnierzy. Nigdy bezpośredni atak na nasze oddziały nie zmusił nas do odwrotu; cofaliśmy się jedynie na skutek cofnięcia się skrzydeł. Stwierdzam na zakończenie, że żołnierz prowadzony przez dobrego oficera zdolny jest do pokonania kilkakrotnie liczniejszego nieprzyjaciela.

Wład[ysław] Broniewski  
Kapitan i w.z. dca<sup>4</sup>

<sup>4</sup> W czasie pisania raportu kpt. Władysław Broniewski „Orlik” pełnił funkcję dowódcy II batalionu 1 pp Leg, zastępując mjr. Zygmunta Wendę, przebywającego prawdopodobnie na urlopie.